Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK IX | WARSZAWA, CZERWIEC 1934 R. | Nr. 6

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32.

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO REFORMOWANEJ
Adres Administracji – Leszno 20. Tel. 11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł. 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr [illegible].423

TREŚC NUMERU

1. *Ks. E. J.* — Ewangelja Chrystusowa dzisiaj . 81
2. *Ks. L. Zaunar.* — Kazanie w II dniu Synodu . . . 85
3. *Ks. Prof. D. Dr. R. Kesselring.* — Ulryk Zwingljusz 86
4. *Ks. Emil Jelinek.* — Sylwetka Kalwina na tle Reformacji (c. d.) 88
5. *Z. Dropiowski.* — Menento 79
6. Synod Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Rzeczypospolitej Polskiej 93
7. Wiadomości z Kościoła i o Kościele 95
8. Ofiary. Porządek nabożeństw 96

ROK IX WARSZAWA, CZERWIEC Nr. 6

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

Ks. E. J.

Ewangelja Chrystusowa dzisiaj.[*)]

Rzym i Ewangelja! Zestawienie to brzmi nawet dzisiaj dość dziwnie, a w czasach ap. Pawła brzmiało zgoła niemożliwie. Bo i jakżeż?! Przesycony zdobyczami kultury stary Rzym cezarów, stolica cywilizowanego świata, środowisko najwyższej ogłady i wiedzy—i prosta Ewangelja Chrystusowa! Żądny uciech i zabaw Rzym — i surowa Ewangelja! Czyż to miasto pełne splendoru i przepychu może być odpowiednim terenem zwiastowania prostaczej Ewangelji? Czyż nie będą jej tam słuchać, wzgardliwie poruszając ramionami? Jakżeż lud mówców i retorów, który mądrość i kunszt oratorski po Grekach odziedziczył, słuchać będzie tej Ewangelji, pozbawionej w treści subtelnej filozofji, a w formie—kunsztownej budowy? Czyż nie będą się śmiać z kazania o ukrzyżowanym Bogu ci, którzy zwykli z wieńcem róż na głowie ucztować wespół ze swymi pięknymi marmurowymi bogami?!

Pytania te niewątpliwie musiały narzucić się w dawnych czasach tym wszystkim, którzy zdecydowali się opowiadać Grekom i Rzymianom prostą Ewangelję Chrystusową. Mimo to ap. Paweł, ten misjonarz nad misjonarzami, urbi et orbi obwieszcza: „Nie wstydzę się Ewangelji Chrystusowej, albowiem jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu" (Rzym 1$_{16}$*). O tej „mocy Bożej" przekonał się ap. Paweł pod Damaszkiem, gdzie z zagorzałego Faryzeusza i nieprzejednanego wroga Chrystusowego stał się Jego najgorliwszym zwolennikiem i apostołem. Dla ap. Pawła Ewangelja Chrystusowa silniejsza była od wszystkich razem legjonów rzymskich cezarów i przeto śmiało do Rzymian wołał: „nie wstydzę się Ewangelji". Tę bohaterską wiarę apostołową w moc Ewangelji potwierdziły w całej rozciągłości dzieje chrześcijańskiego Kościoła i europejskiej cywilizacji.*

*) Podług T. Warnecke.

Ewangelja Chrystusowa ma więc bezsprzecznie historyczne znaczenie, ale czyż ma ona jakąkolwiek wartość jeszcze dzisiaj? Czyż ta spuścizna dawno minionych wieków może mieć dziś większe znaczenie niż stara relikwja, którą się wprawdzie z szacunkiem, ale też i ze zdumieniem ogląda? Czy odpowiada ona potrzebom i wymogom nowego kulturalnego życia, czyż może ona rozwiązać trudne i zawikłane tajemnice i problematy, które z postępem cywilizacji coraz to więcej narzucają się nowoczesnemu człowiekowi, czyż poradzi ona na bolączki dzisiejszego społecznego i rodzinnego, gospodarczego i politycznego, moralnego i religijnego życia? — Oto, są znowu pytania, które narzucają się siłą nam, ludziom nowych czasów, kiedy zestawiamy Ewangelję Chrystusową z życiem obecnem.

Dziś wielu na te pytania zgóry odpowiada negatywnie. Dla wielu dziś Ewangelja Chrystusowa jest już tak stara i w sędziwości swej tak nieporadna, acz może dostojna, że nie powinna ona ich zdaniem wychodzić z murów starych świątyń na ulicę; niech sobie tam w świętej ciszy spoczywa jak czcigodny zabytek w cichem muzeum i niech się nie waży trafiać do biur, urzędów, fabryk i warsztatów. Bo i po co ma ona wychodzić naprzeciw życiu, którego nie zna, — naprzeciw człowieka, który już jej nie rozumie? Toć to przecież już dziewiętnaście długich stuleci minęło od czasów, w których ap. Paweł głosił znękanej ludzkości odkupienie.

To jasne i pewne, że człowiek dzisiejszy pod wielu względami różni się od człowieka apostolskich czasów, a i samo życie daleko odbiegło od dawnych prostych i nieskomplikowanych swych wzorów. Jedna tylko rzecz nie uległa zmianie. Zmieniła się wprawdzie zewnętrzna forma życia, ale jego najgłębsza istota i treść pozostała ta sama. Zmienił się tryb życia ludzkiego, ale człowiek tak samo dzisiaj jak i przed wiekami myśli i czuje, to samo w piersi ma serce, tak samo płacze, smuci się i cierpi. W zmienności losu i trudzie życia człowiek zawsze szukał i zawsze szukać będzie punktu oparcia i wytchnienia. I tej odwiecznej tęsknoty człowieka nie zdoła ukoić nic w świecie, albowiem wszystko na nim nosi piętno zmiennej znikomości. W tem właśnie tkwi niewyczerpane źródło religji. Nie zdoła jej przeto usunąć ani technizacja, ani racjonalizacja życia. Jedno i drugie pogłębia jeszcze odwieczną tęsknotę człowieczego serca. Wszak i dziś mimo świadomego zorganizowanego wysiłku wykorzenienia religji jako „opium dla ludu" z płaszczyzny życia publicznego i prywatnego kwestja religijna nic nie straciła ze swej żywotności, owszem, głód rzetelnej religji, głód Boga jest dziś mimo pozorów powszechnej obojętności czy nawet bezbożności silniejszy niż kiedy indziej. Jeno, że dziś człowiek szuka Boga po swojemu t. j. wszędzie, tylko nie tam gdzie trzeba. Jedynego drogowskazu do Boga, tej „starej" Ewangelji, najczęściej nie zna, lub zawczasu wyrabia sobie o niej zgoła błędne przekonanie. Nie zada sobie trudu, aby otworzyć stare jej karty, a jeśli już ją otworzy, to czyta ją przez okulary, które mu inni na nos założą. Oczywiście wyczytuje z niej wtedy nawet to, czego tam w gruncie rzeczy niema, ale doczytać się nie może tego, co stanowi tej Ewangelji treść istotną. Nie dziw więc, że dla wielu „uczonych w Piśmie" Ewangelja Chrystusowa jest często tylko mało spoleglivym zbiorem historycznych wiadomości o prapoczątkach chrześcijaństwa, zbiorem mitów astralnych, albo podręcznikiem wszelakich przepowiedni. Dla innych znowu Ewangelja to kanon chrześcijańskiej moralności, na wzór starych stoickich nauk utkany. Dla innych jeszcze Ewangelja to religijna księga, zawierająca nieomylne prawdy, ujęte w postać dogmatów, które jeśli się chce być zbawionym per fas et nefas na ślepo przyjąć trzeba.

Czy rzeczywiście to najgłębsza treść i istota Ewangelji Chrystusowej? Nie, drogi Czytelniku! Ewangelja, jak to już jej nazwa wskazuje, to radosne poselstwo, które chce wnieść do Twego życia radość, wesele, pogodę ducha, jest to zatem poselstwo życiowe, poselstwo Boże. Ewangelja nie chce obarczyć Cię nowym ciężarem i brzemieniem, którego dość masz w życiu, owszem, ona chce to brzemię uczynić lżejszem i znośniejszem. Ewangelja nie chce krępować cię nakazem rytualnym: powinieneś to a to robić, musisz tego i tego zaniechać,—naodwrót, Ewangelja uwalnia cię od Zakonu, pozwala ci odetchnąć pełną piersią, uczy cię śmiało patrzeć w górę w jasny, czysty błękit nieba, gdzie Ojciec twój przebywa i troszczy się o ciebie, a nie wiecznie jak „poganin" ku ziemi chylić troskami poradlone czoło. Sursum corda — w górę serca — oto najgłębszy sens Ewangelji. Sam Bóg woła w niej przez usta jednorodzonego Syna swego do umęczonego trudem życia i obarczonego brzemieniem grzechów człowieka: Pójdźcież do mnie wszyscy, którzy spracowani i

obciążeni jesteście, a ja wam sprawię odpocznienie. Ufaj synu, odpuszczone są tobie grzechy twoje!

Oto poselstwo tej „starej" Ewangelji. Słuchając jej, zapomina się całkowicie o tem, że powstała ona przed dziewiętnastu wiekami. Bo i któż z nas ludzi dzisiejszych nie upada znużony pod brzemieniem krzyża trosk i kłopotów wszelakich? Któż z nas nie musi walczyć ze swą ludzką słabością i niemocą? Któż z nas nie czuje się jak ap. Piotr samotnym i słabym wśród odmętów rozszalałego życiowego oceanu? Któż z nas nie wątpi, nie rozpacza i nie upada na duchu? Komuż są obce wyrzuty sumienia? Kto z ludzi nigdy nie błądzi i nigdy nie tęskni? Nie jesteśmyż wszyscy ciężko spracowanymi na wyboistej drodze życia Ahasweramі, wiecznymi tułaczami?

Czem dla ciebie, drogi Czytelniku, w tej życiowej pielgrzymce jest Ewangelja? Czy jest ona dla ciebie mocą Bożą? Może spoczywa ona w twojej bibljotece jako cenny zabytek w drogiej skórze oprawna i... kurzem zapomnienia pokryta? Sądzisz, że to właściwe jej miejsce? Nie powinna ona raczej spocząć w naszem sercu? Wszak od niej ewangelikami się zowiemy....

.....

Ks. L. ZAUNAR.

KAZANIE W II DNIU SYNODU.

dn. 11.VI 1934 r.

Ew. Jana r. 12 w. 20—21:

„A byli niektórzy grecy z tych, którzy przychodzili do Jerozolimy, żeby się modlić w święto. Ci tedy przyszli do Filipa, który był z Betsaidy Galilejskiej, i prosili go mówiąc: Panie, my chcemy widzieć Jezusa!"

Przyszli do Jerozolimy na święto żydowskie niektórzy grecy, widzący w religji Izraela prawdę i światło, jakiego nie dawali ich właśni bogowie olimpijscy, a słysząc o tem czego naucza i co czyni Jezus, zwrócili się do jednego z uczniów Filipa z prośbą: Panie, chcemy widzieć Jezusa! Nietylko oni chcieli Go wówczas widzieć i nie oni pierwsi podobne życzenie wyrażali. Wszak świadczą zgodnie Ewangelje, że pragnienie ujrzenia Jezusa było rzeczą powszechną, obejmującą swym zasięgiem tysiące ludzi i to ludzi najróżnorodniejszych warunków i zawodów życiowych: szli za Jezusem i łaknęli Jego widoku ubodzy i upośledzeni, maluczcy i wzgardzeni przez możnych tego świata. Szli jednak i bogacze, ludzie — jak Zacheusz lub Mateusz—dla których dźwięk złota był najmilszą, jeśli nie jedyną zrozumiałą melodją, a jego gromadzenie jedyną radością i celem życia w przkonaniu, że ono jest jednocześnie jedyną siłą i potęgą realną, która umożliwia człowiekowi zdobycie wszystkiego na ziemi. Szli do Jezusa, aby Go widzieć tak samo grzesznicy, których towarzystwa nie pożądał nikt, jak i kapłani i faryzeusze, w których widziano idealne wzory prawdziwej religijności ludzi jedynie miarodajnych i powołanych do oceny wszystkiego w życiu ludzkiem, co mogło mieć jakikolwiek związek z Bogiem i kultem religijnym. Szli do Jezusa, aby Go widzieć na własne oczy mężowie i kobiety, ludzie dorośli i stwardnieli w ciężkiej walce i znoju o kawałek chleba, a tem samem umiejący odrazu wyczuć wartość wysiłku innego człowieka, jak i młodzieńcy, pełni zapału i górnych nadziei, wrażliwi i gorliwi, ale często niestali i zmienni w swych poglądach i upodobaniach. Jednem słowem szli wszyscy i napewno nikt nie przepuściłby sposobności ujrzenia Jezusa. Niewątpliwie Jezus był dla swych współczesnych olbrzymią — jak byśmy to dzisiaj wyrazili — sensacją! Sensacyjną była jego nauka a jeszcze bardziej jego postępowanie z ludźmi i stosunek do nich. Ale była to sensacja nie z tych, które nagle budzą naszą uwagę i zainteresowanie, ale równie prędko przemijają, obojętnieją i popadają w zapomnienie, Jezus przykuł uwagę człowieka raz na zawsze, stał się przedmiotem stałego zainteresowania, a nawet więcej: stał się główną myślą i jedynym środkiem dla każdego, kto przeżywał kwestje spokoju serca, zagadnienie swego szczęścia i dręczące pytanie celu i sensu swego życia i bytu. „Chcemy widzieć Jezusa" stało się wołaniem powszechnem, nietylko tam, w ziemi Izraela, i w czasie ziemskiego życia Zbawiciela naszego, ale i na przestrzeni długich wieków i licznych pokoleń ludzkich, wśród mnogości języków, ras i narodowości, wśród przeróżnych warunków życia i na różnych stopniach ludzkiego rozwoju.

Mimowoli budzi się pytanie: dlaczego owi grecy z naszego tekstu, a za ich przykładem tylu innych pragnęli koniecznie widzieć Jezusa? Wszak jeśli chodziło im o poznanie zasad Jego nauki, to wystarczyło o nich słyszeć, były wszak tak jasne, przystępne dla każdego i

dla każdego osiągalne. Niewątpliwie i oni słyszeli o nich, z pewnością znali ich treść i ich wskazania. Cóż im mogło pomóc oglądanie twarzy Jezusa? A jakżeż mogli pragnieniu temu zadość uczynić ci, którzy chcieli go widzieć już po odejściu z tej ziemi? Czy mieli dla umocnienia swej wiary weń patrzeć w wizerunki lub stać przed posągami, które miały dać im ziemskie podobieństwo Chrystusowe? Z pewnością nie! Nie chodziło o oglądanie twarzy czy wizerunku. Ludzie, którzy jak owi grecy przyszli z prośbą „chcemy widzieć Jezusa" mieli większe pragnienia i ważniejszą sprawę: wyczuwali oni, że w osobie Jezusa ujrzą ideę najpiękniejszą, o jakiej kiedykolwiek słyszał człowiek, wcieloną i żywą, potężną i twórczą, która nie jest jedynie nierealną fantazją, ani bezpłodnem marzeniem, ani wreszcie suchą teorją, lecz jest życiem, odmiennem i piękniejszem od tego, jakie sami przeżywali, jakie im głosili mędrcy ich świata i zwiastowali kapłani różnych religij im znanych. Wyczuwali i spodziewali się ujrzeć naprawdę to, co im dotychczas wydawało się pięknym snem, albo nieziszczalnym ideałem, chcieli się przekonać, że Jezus ze swojem zwiastowaniem, nauką i czynami — to nie legenda, lub przesada, lecz sprawa realna, którą można samemu stwierdzić i o działaniu jej prawdziwem się przekonać. Do tego nie wystarczało „słuchanie i opowiadanie" to trzeba było widzieć.

Osoba Jezusa była sprawdzianem jego nauki: w nim znalazła ona swoją całkowitą realizację i wypełnienie, On sam był dowodem, że jest ona sprawą życia rzeczywistego, pojętego jako wartość i źródło radości i szczęścia, a więc tego, które od pradawna było i zawsze będzie przedmiotem dążeń i istotnym celem poczynań człowieka niezależnie od zewnętrznych warunków, czasu i przestrzeni. Nie może nas więc dziwić, że grecy goszczący w Jerozolimie chcą widzieć to na własne oczy, chcą się o tem napewno przekonać i dla samych siebie i dla innych, gdy usłyszą zapytanie: kimże jest ów Jezus, o którym tak wiele się mówi i opowiada? Nie dziwmy się, że widzieć Jezusa pragnęli pierwsi chrześcijanie, by w ten sposób znaleść moc dla siebie w ciężkiej walce ze światem pogańskim, oraz odpowiedź na wątpliwości lub pytania tych, którzy szukali u nich treści dla swego życia i podstawy pewnej dla swego światopoglądu. Nie mogąc zaś widzieć Jezusa cieleśnie, materjalnie, chcieli Go widzieć w życiu ludzkiem, w czynach i hasłach, których ośrodkiem był Jezus taki, jakim tu na ziemi widzieli Go jego apostołowie i tłumy za Nim biegnące. Chrystus stał się odtąd aż po dzień dzisiejszy, jako wcielenie najwyższego dobra, prawdy i miłości, poczętych nie z prochu i brudu ziemskich pojęć, obaw i pożądliwości, ale mających swe źródło w Bogu, pragnieniem serc i dusz po wszystkie wieki, ale jako żywy i prawdziwy Pan i Zbawiciel, przejawiający swoją moc w czynie realnym, który chce się widzieć, który się widzieć musi, aby przekonał i umiał pociągnąć ku sobie serce spragnione dobra i szczęścia tu na ziemi. To też możemy śmiało twierdzić, że słowa „chcemy widzieć Jezusa" powtarzają się niezmiennie na przestrzeni wieków, szczególnie mocno wtedy, gdy człowiek stoi bezradny wśród trosk, słabości i grzechu swego życia i pragnie znaleźć pewny punkt oparcia, by nie zginął i nie utracił wiary w wartość swego wysiłku w dążeniu do lepszego jutra i lepszej swej przyszłości. Te słowa mogą być wyrażone rozmaicie, można je przybrać w różną szatę, ale treść pozostaje ciągle ta sama, jak niezmienną jest dusza człowieka w dążeniu do światła i szczęścia. A czy dzisiaj słyszymy to wołanie z serc poszczególnego człowieka czy ludzkich społeczeństw, zapytamy? Gdzie można je słyszeć, na jakim rynku czy ulicy naszego świata mają one swoją wymowę, walor i cenę? Wszak w całym wielkim zgiełku i wrzasku, jakim napełnia nasze uszy współczesne życie, trudno pochwycić słabe choćby wołanie o Jezusa. Wołamy raczej o rzeczy, z któremi Jezus niewiele miał wspólnego, a które traktował, gdy o nich mówił, jako wartości podrzędne. Czy wyrażamy dzisiaj pragnienie „widzieć Jezusa" w naszych gazetach, książkach, codziennych zajęciach, pożądaniach i wysiłkach? Czy całe nasze życie jest choćby tylko w pewnej części tego pragnienia wyrazem i stwierdzeniem bezspornem? Zdaje się, że na takie pytania każdy, kto uczciwie chce na nie odpowiedzieć, znajdzie jedną tylko odpowiedź: nie! A jednak i w naszych czasach to pragnienie żyje i głos swój podnosi: nie na hałaśliwych może targowiskach płytkich pożądań, ale w głębinach serca, zmęczonego życiem i rozumiejącego całą bezradność człowieka, którego wysiłki w pracy dla jasnego jutra nietylko nie wydają spodziewanych a gorąco pożądanych owoców, lecz wprost odwrotnie, kładą na horyzonty ciemne i groźne chmury i zapowiedź klęski i zniszczenia.

Człowiek współczesny, czy jako jednostka, czy jako zbiorowość, nie jest człowiekiem zdrowym duchowo, dusza jego jest zatruta niewiarą i pesymizmem, który w zarodku dławi wszelki czysty poryw i zabija zaufanie w wartość własnego wysiłku. Człowiek dzisiejszy żyje pojęciem względności, a więc wartość ma dlań jedynie ta króciutka chwilka, którą może opanować. Owidjuszowskie „Carpe diem" stało się dlań nietylko hasłem ale wprost wyznaniem, a jego realizowanie najwyższą mądrością i celem. Jednak życie współczesne nie potwierdza słuszności tej zasady, jego chaos, w wyniku którego mamy tak powszechnie cią-

żący na naszem życiu kryzys, mówi do nas dobitnie choć boleśnie, że wymaga ono pewnej i trwałej podstawy dla siebie. Tej nie posiada dzisiaj człowiek w swojej duszy, nie może też dać jej swemu życiu zbiorowemu, nie jest w stanie go uporządkować i tak skoordynować, by stało się ono dobrem i błogosławieństwem dla wszystkich. Wszelkie wysiłki w tym kierunku, wszelkie koncepcje i pomysły zawodzą sromotnie: chora dusza nie może dać zdrowia ciału! To też współczesny człowiek nasycony a nawet przesycony mądrością ziemską, zbyt słabą, aby go zadowolnić, podświadomie, ale intensywnie zwraca swe serce ku innej mądrości, instynktem swym odgadując że w niej leży klucz, dający mu możność osiągnięcia tego stanu duszy, który niesie zadowolenie i radość. Będzie to więc jedynie inne sformułowanie tego samego pragnienia, które grecy wyrazili, mówiąc: „Chcemy widzieć Jezusa". Ten ideał żywy i skuteczny, czynny i realny, jako czynnik i zasadę powszechnego życia wyrażamy w naszym języku, tęskniąc do ideału pokoju, sprawiedliwości, braterstwa. My taksamo jak przed wiekami chcemy to widzieć. Widzieć, nietylko o nim słyszeć! Słyszymy o nim niestety aż nazbyt często, tak często, że nam się stał oklepanym frazesem, z którym nie trzeba się liczyć. I dlatego nie wierzymy pięknym słowom, które głoszą jego wartość, nie garniemy się doń i nie pociąga on nas, choć napewno każdy z nas przyzna, że jest piekny. My ludzie pojęć i doświadczeń strasznego kataklizmu wielkiej wojny światowej, świadkowie niesłychanych potworności popełnianych często pod osłoną wielkich słów i wzniosłych haseł, nie chcemy dzisiaj słów, choćby miały one słodycz harf eolskich i powab niezrównany: nam jest potrzebny czyn, skromny bodaj, lecz realny, rzeczywisty, który możemy sprawdzić i którego możemy się dotknąć. Przyjmujemy przeto jedynie to słowo, które będzie początkiem i pewnem źródłem czynu i życia, z którego to życie promieniuje. Niewątpliwie ideał naszych tęsknot nie jest gorszy od ideałów pokoleń poprzednich, to też i my w naszych sercach mamy ten sam głos i to samo pragnienie, które wiodło greków naszego tekstu: „Chcemy widzieć Jezusa".

Grecy owi prosili o to ucznia Jezusowego Filipa: do niego udawali się ze swoją prośbą. Do kogóż dzisiaj może i powinien prośbę swą skierować człowiek współczesny? Niewątpliwie do Kościoła jako instytucji i społeczności opierającej swoje istnienie na nauce Jezusowej, wyznającej w Nim swego Pana i Zbawiciela. Czy więc Kościół dzisiaj wypełnia właściwie i dobrze swoje zadanie? Niestety, aż nazbyt często słyszy się zdanie, że tak nie jest. Twierdzą tak nietylko wrogowie, lecz często najbardziej miłujący go i oddani mu ludzie. Kościół głosi Chrystusa, mówi o Nim, gloryfikuje Go, każe w Nim widzieć Chrystusa-Króla, padać na twarz przed Jego wizerunkiem, lecz gdzie Go ukazuje, żywego i działającego, wywierającego wpływ na życie, kształtującego je w duchu swych nauk? Niewątpliwie możnaby wskazać liczne przykłady takiej żywej działalności, lecz czy nie są one rzadkim wyjątkiem na zupełnie odmiennem tle poglądów, dążeń i poczynań naszego prawdziwego życia, które ma z Jezusem bardzo mało wspólnego, chyba że pozory i gotowe formułki, które się pobożnie wypowiada, ale z któremi się nikt nie potrzebuje liczyć. Czyż to może zadawalniać wobec istnienia 700 miljonów zorganizowanych ludzi, którzy noszą piękną nazwę wyznawców Jezusa, a więc tych, dla których On ma być wielkością żywą, realną w ich własnem życiu? Jakież tu może być porównanie z małemi garstkami pierwszych chrześcijan, którzy w imię Jezusa stoczyć umieli zwycięsko ciężką walkę z potęgą pogańskiego miecza, bogactwa, wspaniale zorganizowanego państwa, z jego prawem, tradycją i cywilizacją, a nietylko stoczyć, ale zwyciężyć! Czy nie ma słuszności człowiek, który słyszy dzisiaj o Jezusie w każdym kościele tyle słów, pytając: „gdzie jest ten Jezus, ja Go chcę widzieć".

To też przed Kościołem Chrześcijańskim, bez różnicy wyznania, stanął dzisiaj w całej pełni ten jego najważniejszy obowiązek: pokazać każdemu człowiekowi Jezusa żywego i prawdziwego, nie obrazek, nie figurę, nie słowo wreszcie, ale życie, poczęte i działające tak, jak działało ono na cały świat w Nim samym. Kościół musi dzisiaj, o ile chce przetrwać, zwyciężyć i rządzić duszą ludzką, ten swój pierwszy obowiązek, te swoje najpierwsze prawo wziąć tak, jak je jedynie brać można: jako prawo życia przedewszystkiem własnego, a przez to i ogólnego. Jeśli dzisiaj mnożą się głosy twierdzące, że przeżywamy nową reformację w dziedzinie myśli religijnej, to niewątpliwie będzie ona wyrazem coraz żywszego wołania o Jezusa żywego i działającego w życiu i postępowaniu codziennem tak samo, jak On sam to czynił.

Kościół nasz, jako cząstka powszechnego Kościoła, ma w swoim zakresie ten sam obowiązek działania, on musi nam tak samo otwarcie i prawdziwie w swym czynie i życiu ukazywać Chrystusa. Wołają o to ci wszyscy, którzy się doń zwracają o pomoc i radę w swem własnem szukaniu Zbawiciela żywego, żąda tego odeń jego tradycja i przeszłość, żąda wreszcie nasze życie tak ubogie w pierwiastki dobra, miłości i zaufania : „Panie, pokaż nam Jezusa".

My zebrani wspólnie jako członkowie i przedstawiciele Kościoła naszego, jako cząstka wspólnej rodziny ludzkiej w naszym Kościele,

prośmy gorliwie Boga, aby nam użyczył Swej mocy i mądrości, by nam pozwolił stać twardo w szeregu tych, którzy rozumieją ważność i konieczność najbardziej aktualnego hasła naszych czasów: „Chcemy każdemu w swem własnem życiu pokazywać Jezusa żywego i działającego w nas ku dobru człowieka". Niechaj ku temu zmierzają nasze wspólne synodalne obrady, niech będą dla nas spojrzeniem na Pana i Zbawiciela, ku Jego chwale, ku dobru naszych dusz. Amen.

Ks. Prof. D. Dr. R. KESSELRING.

ULRYK ZWINGLJUSZ.

(W 450 rocznicę urodzin wielkiego teologa i reformatora).

IV.

Do roku 1519 Zwingljusz pozostawał głównie pod wpływem Erazma i kół humanistycznych. W Zurychu zwolennik reformy w duchu humanistów stopniowo przeobraził się w reformatora. Duchowa ta metamorfoza u Zwingljusza jak i u innych wielkich przywódców ruchu reformacyjnego przedstawia do pewnego stopnia niezmiernie ciekawe zagadnienie. Nie jest to przeobrażenie i przekształcenie się niektórych postaci dziejowych typu odnowicieli życia religijnego pewnych epok linją prostą. Zawsze jednak należy na nią spoglądać jak na organiczny rozwój rośliny, która w każdym nowym listku, w każdej świeżej gałązce wykazuje nieprzerwaną łączność i ścisły związek nietylko z widocznym pniem, ale z każdym najmniejszym korzonkiem, ukrytym przed badawczem naszem okiem. Kto w latach najlepszego rozwoju i rozkwitu duchowego Zwingljusza, kiedy młody, nieznany po za granicami szwajcarskich kantoników kapłan pracami i działalnością swoją zdobywał sobie miejsce w Panteonie Dziejów Ludzkości, wywarł na nim najgłębszy wpływ? Premjer—Minister Holenderski, wybitny mąż stanu i znakomity kaznodzieja i profesor teologji kalwińskiej A. Kuyper wypowiedział przed laty charakterystyczne zdanie o twórczości Kalwina: „Luter może być zrozumiany bez Kalwina, Kalwin jednak nie bez Lutra". To zdanie możnaby jeszcze rozszerzyć i dodać: bez działalności, bez impulsów reformatora z Wittenbergi może nie mielibyśmy i reformatora z Zurychu. W pierwszych latach 16 stulecia znamy niejednego kapłana katolickiego, który pragnął reform w Kościele, nie stał się jednak reformatorem! Kto z nas dokładniej zna żywot jednego i drugiego reformatora, temu, kto pamięta, jaki przebieg miała owa niefortunna rozmowa teologiczna r. 1529 w Marburgu, kiedy to Zwingljusz ze łzami w oczach wyraził się, iż z nikim chętniejby ugodę zawarł i uściskiem braterskiej dłoni ją przypieczętował jak z Lutrem, takie twierdzenie nie powinno się wydawać dziwnem: Luter i Zwingljusz należą do siebie, jakkolwiek drogi ich się rozchodzą. Dokładne i wnikliwe badania życia i działalności reformatora Zurychskiego wykazały do jakiego stopnia wystąpienie i dzieła reformatora Lutra oddziaływały na rozwój teologicznej myśli, religijno-kościelnych poglądów Zwingljusza. Nie tu miejsce przedstawić dokładnie, jak Zwingljusz — podobnie jak i Erazm Rotterdamczyk — śledził bieg wypadków z ruchem reformacyjnym w Niemczech związanych. Ilekroć ukazuje się nowa praca Lutra, Zwingljusz z zapałem ją studjuje, zamawia sobie u drukarza Frobena i prosi o przesłanie z Niemiec dzieł odnoszących się do wiekopomnego sporu między Lutrem a katolickimi jego przeciwnikami. Prace Lutra z lat 1517 — 1520, z podstawowego okresu religijno-reformatorskiej twórczości jego, Zwingljusz znał dokładnie. Egzemplarz Postylli Lutra, wydana w r. 1522, niegdyś własność Zwingljusza, obecnie przechowana w Muzeum Zwingljusza w Zurychu, wykazuje liczne uwagi „in margine", napisane ręką Zwingljusza. Nie jest jednak reformator Zurychski ślepym naśladowcą Lutra, a jego działalność jest nawskroś samodzielną. Słusznie zaznacza: „Luter i ja piliśmy ze wspólnego, prawdziwego źródła, którem jest Ewangelja Chrystusowa". Podkreśla dalej z naciskiem, iż nie słysząc i nie znając nazwiska Lutra w kazaniach swoich w Glarus i Einsiedeln wygłaszanych domagał się poprawy nieznośnych stosunków w Kościele. „Nie chcę, by katolicy mię nazywali Luteraninem", woła Zwingljusz w r. 1523, „nie chcę nosić jego imienia. Nauki Chrystusa nie od Lutra, ale ze słowa Bożego (Selbstwort Gottes) nabrałem". (Köhler, str. 24). Mimo to Köhler stwierdza wprost i w swojej pracy rozstrzelonym drukiem podaje zdanie: „Die Reformation hat Zwingli von Luther". Dla współczesnej „wpływologji" powstaje nowa „crux"! Które zdanie jest słuszne? Zwingljusza, czy

wybitnego znawcy jego życia, dzieła i teologji prof. Köhlera? Przy całym respekcie dla fachowej wiedzy Köhlera wydaje mi się, iż sam fakt czytania czyjegoś dzieła, zaopatrzenia go na marginesie pewnemi uwagami, polecanie tych prac innym do studjowania, nie upoważnia nas jeszcze do tak daleko idącego wniosku i twierdzenia. Własne wypowiedzenie się w tej sprawie Zwingljusza, wreszcie niezbity niczem fakt, iż Zwingljusz wystąpił jeszcze przed decydującym rokiem 1517, dalej, iż reformator Zurychski zachował sobie zawsze samodzielność swego sądu, przeciwstawiając się często religijnym poglądom Lutra, zdanie Köhlera w tej aksjomatycznej formie wypowiedziane stanowczo podważają. Zresztą sam Köhler na str. 34 wybiera drogę środkową między zupełną oryginalnością i zupełną zależnością Zwingljusza od Lutra. Z tem najzupełniej pogodzić się można!

W jakim kierunku postępował Zwingljusz w czasie swego działania w Zborze Zurychskim? W każdym bądź razie nie trzymał się instrukcji, którą przed objęciem stanowiska w Zurychu otrzymał od przełożonej swojej kapituły. Ta bowiem żądała od niego „napominania ludu na ambonie i w konfesjonale, by dziesięcinę, podatki kościelne skrupulatnie wpłacał, dając tem dowód chrześcijańskiego swego uczucia". Zwingljusz nie myślał ani przez chwilę postępować wedle takich wskazówek. Postanowił sobie z gotowym i ułożonym przez siebie programem przedewszystkiem przedstawić słuchaczom swoim obraz Chrystusa. Wyłożyć żywot i naukę Zbawiciela, zwłaszcza Jego naukę na górze (Mat. 5—7), od tego rozpoczyna Zwingljusz swoją działalność w Zurychu. 1 stycznja 1519 r. po raz pierwszy przemawia Zwingljusz do tłumnie zebranych zborowników we wspaniałej katedrze gotyckiej, w t. zw. „Grossmünster". To kazanie „in nuce" przedstawia nam główny cel, do którego Zwingljusz odtąd wszystkiemi siłami swego ducha i sam zdążał i innych do jego osiągnięcia zachęcał. „Do Chrystusa pragnę was zaprowadzić, do prawdziwego źródła zbawienia. Jego Słowo jest jedyną strawą, którą waszym sercom i życiu podawać pragnę". Kazanie wedle Zwingljusza nie ma być prostym retorycznym popisem, deklamacją obliczoną na efekt zewnętrzny. Nie należy w niem poruszać spraw nie związanych ściśle z tematem, należy unikać wszelkich anegdotek zabawnych, pobudzających słuchaczów do śmiechu, niegodnego świętego miejsca. *Słowo Boże* na niebie każdego teologa powinno być tą gwiazdą polarną, przewodnią, wedle której w swojej religijnej, duszpasterskiej pracy się orjentuje. Kiedy 2 stycznia 1519 r. Zwingljusz ponownie wstąpił na kazalnicę, przeczytał donośnym, przejętym do głębi treścią i powagą słów Bożych głosem, całą stronicę Pisma Św. Następnie przedstawił Zborowi głęboki upadek religji i moralności, który ogarnął wszystkie stany, warstwy społeczne, narody... „Omyjcie się, czystymi bądźcie, odejmijcie złość uczynków waszych od ócz moich, przestańcie źle czynić. Uczcie się dobrze czynić, szukajcie sądu, podźwignijcie uciśnionego, sąd sprawiedliwy czyńcie sierocie, ujmujcie się o krzywdę wdowy", temi słowy proroka Izajasza zaraz we wstępie swego kazania podkreślił, iż pragnie, aby odtąd lud Zurychski „miał w nienawiści złe, a umiłował dobre, by sprawiedliwość jego była jako strumień gwałtowny" (Amos).

Wpływ i niepojęta moc genjalnych ludzi często leżą w potędze ich słowa. Jeśli to słowo trafi w zapalną i fermentującą masę, a taką było społeczeństwo europejskie w przełomowym wieku 16 naszych dziejów, wywiera niezwykłe i wprost cudowne wrażenie. „Nie słyszeliśmy jeszcze tu w naszym kościele takiego kazania. Zwingljusz stanie się naszym Mojżeszem, który nas wyprowadzi z ciemności niewoli egipskiej", taki jest sąd jednego ze słuchaczów. Tomasz Platter, humanista i rektor szkoły Bazylejskiej, wyznaje: „Czułem, jak gdyby Zwingljusz chwytał włosy moje i w górę mię pociągał". Zwingljusz nie był w ciągu swojej działalności Zurychskiej już tylko uczniem Erazma, który każde słowo kładł na wagę, zważając na efekt zwłaszcza każdego pisanego słowa a reformacji pragnął „suavi modo", w sposób łagodny, nie drażniący papieża i kurji rzymskiej. Zrozumiał Zwingljusz, iż słowo i czyn, synteza tych dwóch sił, wykreślających ludzkości strumień i bieg jej dziejów, mogą sprowadzić tę zmianę, tę poprawę pożałowania godnych stosunków w społeczności chrześcijańskiej. *Słowo* i *Czyn*. to staje się hasłem Zwingljusza, które mu przyświecało w krótkim, ledwo 11 lat trwającym okresie jego reformatorskiej działalności, od owego noworocznego nabożeństwa w Zurychu do chwili tragicznego zgonu na polach bitwy pod Kappel.

Chrześcijaństwo — mówił Zwingljusz — nie jest kompromisem ze światem przewrotnym i złym, lecz walką, a sługa Kościoła Chrystusowego, ów prawdziwy „miles christianus" czasów apostolskich, niczem się nie różni od żołnierza, któremu sztandar Zbawiciela jest wszystkiem, a śmierć w jego obronie słodką i zaszczytną. Jest w reformacji Zwingljusza odrębna nuta, silna i donośna. Ze wszystkich wielkich reformatorów naszego Kościoła Zwingljusz miał naturę najbardziej radykalną. Pierwszy też zrozumiał, iż tylko aktywizm, świadoma swoich celów, skupiona i silna akcja może wywalczyć nowemu kierunkowi i Kościołowi należące mu się znaczenie i powagę. Biernym należy być wobec Boga, wobec potęgi Jego Słowa, to jednak nie znaczy, być biernym wobec świata, jego złości, win i u-

padku. Kiedy w Zurychu „czarna śmierć" zaraz w pierwszym roku jego działalności zabrała 2100 osób — Zurych wówczas nie wiele ponad kilkanaście tysięcy mieszkańcow liczył —, kiedy ukochanego brata stracił, i sam, śpiesząc od chorego do chorego, ciężko zaniemógł, dał dowody tego aktywizmu, poświęcenia i ofiarności. One wyżej go stawiają w naszych oczach od jego uczonych rozpraw, dzieł i traktatów. Wówczas to napisał Zwingljusz jeden z tych wierszy, który Kościół reformowany do najpiękniejszych utworów swojej religijnej poezji zalicza:

„Du bist ja, Herr, mein Schöpfer,
Und Dein Geschöpf bin ich.
Zum Tone spricht der Töpfer
Bald: Bleibe ganz! bald: brich!"
(z 4 zwrotki).

Myśli tego wiersza przytaczam w tłumaczeniu mojem:

Ty, Panie, jesteś Stwórcą moim,
Twoim tworem marnym jestem ja.
Jam gliną tylko w ręku Twoim,
którą dzieli, skupia wola Twa".

Ks. EMIL JELINEK.

SYLWETKA KALWINA NA TLE REFORMACJI.

(c. d.)

Kalwin doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że aby dzieło jego życia było trwałe i mogło przetrwać burze wieków, sam musi sobie wychować grono wiernych uczniów i następców, którzyby i po jego śmieryi rozpoczęte przezeń dzieło w dalszym ciągu kontynuowali. To też reformator oddawna zabiegał o otwarcie w Genewie wyższej uczelni, której zadaniem byłoby właśnie wychowanie nowego pokolenia teologów i kaznodziei Słowa Bożego. Kiedy tylko znalazły się odpowiednie na ten cel fundusze wnet przystąpiono do budowy gmachu. Jak wielkie znaczenie przywiązywał Kalwin do tej akademji i jaką troską otaczał jej powstanie widać już choćby z tego, że mimo ciężkiej choroby musiano go nosić w fotelu na miejsce budowy, aby mógł osobiście wszystkiego doglądać. Nie dziw, że pod takim nadzorem budowlę ukończono w niespełna sześć miesięcy. Dnia 5 czerwca 1559 r. nastąpiło uroczyste otwarcie akademji, która niebawem w całej Europie zasłynęła wysokim poziomem nauk, sławą profesorów i wielkim pocztem wybitnych wychowanków. Pierwszym jej rektorem został znakomity uczony Teodor Beza (ur. 1519, zm, 1605), serdeczny i oddany przyjaciel Kalwina, a po jego śmierci wierny w dziele Reformacji następca. Program nauk tej uczelni dzielił się na dwa stopnie. Stopień niższy, odpowiadający mniej więcej dzisiejszemu gimnazjum, był niejako kursem przygotowawczym do wyższych studjów i obejmował 7 klas, w których poza innymi przedmiotami pilnie uczono wychowanków języków starożytnych. Kurs wyższy tworzył właściwy uniwersytet, na którym wykładano teologję, filozofję, fizykę, matematykę i t. zw. siedem dyscyplin realnych. Wydział medyczny został po śmierci Kalwina zwinięty, natomiast wydział teologiczny rozwijał się bardzo pomyślnie i skupiał u stóp katedry Kalwina i Bezy setki studentów ze wszystkich stron Europy, którzy po powrocie do swych krajów stawali się w nich rozsadnikami reformacyjnej myśli Kalwina.

Dzięki właśnie temu duchowy wpływ Kalwina zataczał w Europie coraz to szersze kręgi, krzepł w sobie, umacniał się i pogłębiał, trafiając nawet do najdalszych zakątków starego lądu. Wpływ ten zaczął właściwie promieniować z Genewy daleko poza granice kantonu i całej Szwajcarji znacznie wcześniej dzięki bezpośredniemu oddziaływaniu reformatora na kraje ościenne. Wprawdzie sam on nigdy nie opuszczał miasta, ale działalnośc swoją na zewnątrz Genewy prowadził przez niezliczone listy i pisma treści religijno-kościelnej i teologiczno-polemicznej. Serdeczną troską otoczył każdy choćby najmniejszy ruch ewangelicki bez względu na to czy ten ruch odbywał się w najbliższej mu terytorjalnie i uczuciowo Francji, w zamorskiej Anglji i Szkocji, w jezuickiej Hiszpanji, w rzymskich Włoszech, w luterskich Niemczech, w husyckich Czechach, czy w dalekiej Polsce i na Węgrzech.

Działalność taka wymagała olbrzymiej pracy, pracy zdawałoby się przewyższającej siły słabego cieleśnie człowieka jakim był Kalwin. A była ona tembardziej ciężka i trudna, że w samej Szwajcarji położenie i stanowisko Kalwina nie należało zrazu do najlepszych. I tutaj sąsiednie i zaprzyjaźnione z Genewą

kantony przysparzały Kalwinowi niemało zgryzot i kłopotów. Berneńczycy np., skłaniający się zrazu raczej do nauki reformatora wittenberskiego, niż genewskiego, z zazdrością patrzyli na rozrost duchowej potęgi Genewy, pozostającej pod rządami Kalwina. Wprawdzie oba te kantony oddawna łączyła przyjaźń polityczna, mimo to w kantonie Berneńskim nauka Kalwina zadomowiła się bardzo późno. Dopiero w r. 1558 zawarły oba te kantony wieczystą umowę religijną.

Podobnie rzecz miała się z Zurychem. Tutaj znowu głęboko zapuściła korzenie nauka Zwingljusza, którego osoba została wyniesiona nieledwie do godności bohatera narodowego. Patrjotyczni obywatele Zurychu byli gotowi uważać każdą inną myśl religijną za osobistą zniewagę wyrządzonną ich bohaterowi. To też Kalwinowi udało się zawrzeć z Zurychem umowę religijną dopiero za czasów następcy Zwingljusza Bullingera i to przy pomocy i współdziałaniu powszechnie przez ewangelików sszwajcarskich szanowanego „ojca" Farela z Bernu. Umowa ta, zwana Consensus tigurinensis, doszła do skutku w r. 1549, łącząc raz na zawsze oba odmienne kierunki Reformacji szwajcarskiej. Odtąd wolno już mówić o Kościele Ewangelicko-Reformowanym, chociaż nazwa ta powstała znacznie później. W ten sposób udało się Kalwinowi zjednoczyć ewangelicyzm szwajcarski w jeden Kościół, a tem samem stworzyć zwarty obronny front przed zakusami Rzymu, który dotąd nie tracił nadziei stłumienia Reformacji.

Wzrost wpływów Kalwina na gruncie szwajcarskim odbił się przykrem echem wśród mężów Reformacji wittenberskiej. Ci zrazu przyjaznem okiem patrzą na Kalwina i uważają go za swego sprzymierzeńca, ale teraz spostrzegają, że za dużo w nim jest indywidualizmu, aby go wciągnąć do wittenberskich szeregów. Powoli poczynają się od niego odsuwać, powiększając z każdym rokiem zaporę pomiędzy kalwinizmem i luteranizmem. Kalwin jednak, acz twardo stoi przy swoich poglądach, nie sądzi, aby drobne różnice dogmatyczne miały stanowić nieprzebytą przeszkodę do zjednoczenia całego ruchu. Nigdy nie opuszcza go myśl skupienia całej Reformacji pod sztandarem jednej Ewangelji i pod rozkazami jednego wodza—Chrystusa, ukrzyżowanego za wszystkich, których przedwieczna wola Stwórcy i Pana powołała i do zbawienia wybrała. Razem z Melanchtonem sądzi, że doskonałą podstawą wyrównania teologicznych różnic obu odłamów Reformacji może być właśnie konfesja augsburska.

Te uniwersalistyczne tendencje Kalwina nie były wówczas całkiem odosobnione. Nurtowały one także w ówczesnem społeczeństwie ewangelickiem w Niemczech i znajdowały swój wyraz w żądaniu zwołania powszechnego soboru, na którym obóz ewangelicki chciał zagwarantować swoje prawa. Cesarz Karol V, nie czując się zbyt pewnie na tronie, obiecał ewangelikom w Spirze r. 1543, że sobór taki zwoła i uwzględni na nim ich postulaty. Były to oczywiście tylko obietnice polityka, który tą drogą pragnął uspokoić burzący się obóz ewangelicki i choć na pewien czas zapewnić sobie w kraju pokój. O spełnieniu obietnic cesarz nigdy poważnie nie myślał tembardziej, że na samą wieść o tem papież Paweł III podniósł ogromne larum. W cierpkiem brewe, skierowanem do cesarza, skarcił krnąbrnego syna (Karola V), nadmieniając, że nie myśli wskutek jakiejkolwiek pobłażliwości wobec niego dzielić kary kapłana Eliego. Na breve papieskie odpowiedział Kalwin „Uwagami o liście papieża Pawła III do cesarza Karola V". „Jeśli ten przykład kary Bożej naprawdę przeraża Ojca Św., — pisze w Uwagach Kalwin — dziwić się trzeba, że przedmiotem jego trosk jest jedynie owo rzekome przestępstwo cesarza, podczas gdy patrzy przez palce na grzechy swoich własnych i przyrodnich dzieci, chociaż ap. Paweł nakazuje, żeby dzieci chrześcijańskiego biskupa były cnotliwe i żeby strzegły przykazań Bożych. Nasz papież Paweł Farnese ma syna, ten zaś syn znowu dzieci z nieślubnego łoża. A cóż to za dzieci?! Włochy nie spłodziły dotąd większego plugastwa nad Piotra Ludwika, papieskiego syna. Czemu tutaj drzemiesz Ojcze św.?! Zbrodnicze cudzołóstwa twego syna wołają o pomstę do nieba, wszystka ziemia pełna jest ich zapachu, cały świat o nich krzyczy. A cóż mam rzec o jego drapieżnej chciwości, o jego okrucieństwie? Wszystkich już w tem przewyższył, jeno nie własnego ojca, który ciągle w tem jeszcze nad swym synem góruje". „Wiem dobrze — pisze dalej Kalwin pod adresem papieży, — że już oddawna uczyniliście regułą, że heretykom wiary dochować nie trzeba, że przywłaszczyliście sobie prawo odpuszczania krzywoprzysięstw, że z prawem nie czynicie sobie jakichkolwiek ceremonji, że każdą hańbę pokrywacie swoją świętością, że łamiecie pieczęć i niszczycie pismo, zachowując się tak jakgdyby ich nigdy nie było. Dobrze pamiętamy jakoście wspaniałego Zygmunta skłonili w Konstancji do wysłania Husa na stos. Ale dziś inne już są czasy. Pamięć owej hańby dotąd trwa w myśli Niemców; nigdy już oni nie zaufają waszej rzymskiej obłudzie. Zresztą cesarz Karol to mąż, który nie uczyni ze swej czci i honoru papieskiej ofiary".

W piśmie „Pokorna prośba do cesarza Karola V i do książąt zgromadzonych w Spirze" reformator genewski wykazuje konieczność przeprowadzenia Reformacji. Ale pismo to podobnie jak i „Uwagi" nie trafiły cesarzowi do przekonania. W tym czasie zdołał on już przy pomocy ewangelików pokonać króla

francuskiego i nie musiał się teraz oglądać na swoich protestanckich sprzymierzeńców. Zanadto zresztą był katolikiem aby mógł dać posłuch pismom Kalwina, owszem, z woli jego protestanci mieli się teraz podporządkować uchwałom soboru, który w r. 1545 zwołał papież Paweł III do Trydentu. Na to protestanci żadną miarą zgodzić się nie mogli i wszyscy zgodnie odmówili wzięcia udziału w obradach soboru. Niestety, cesarz chwycił się oręża i dnia 24 kwietnia 1547 r. doszczętnie rozgromił pod Mühlbergiem zjednoczone pod wodzą kurfyrsta saskiego Jana Fryderyka wojska ewangelickie, zabierając samego wodza jako zakładnika do niewoli. Zaraz następnego roku ewangelicy zostali zmuszeni do przyjęcia t. zw. lipskiego albo mniejszego interim, czyli tymczasowego pokoju, przekreślającego nieledwie całkowicie dotychczasowe zdobycze Reformacji. Wśród ewangelików niemieckich zapanowała depresja. Nawet Melanchton w chwili słabości zgodził się na to haniebne interim. Jedynie Kalwin wystąpił z ostrym traktatem przeciwko „cudzołożnemu interim niemieckiemu". Ale najlepsze jego intencje zupełnie zawiodły, a ponadto przez samych ewangelików niemieckich były źle zrozumiane. Dogmatyczna i wyznaniowa wyłączność poczęły już wówczas zaciemniać umysły epigonów wielkiego reformatora z Wittenbergi, przesłaniając im szersze horyzonty Reformacji.

Największym przeciwnikiem Kalwina w łonie reformacji wittenberskiej był kaznodzieja hamburski Joachim Westphal. W traktacie wydanym w r. 1552 nazywa on Kalwina wręcz sekciarzem i nawołuje do zwalczania jego „bluźnierstw" już nie piórem a zbrojnem ramieniem. Dla uniwersalnego ducha Kalwinowego był wysoce przykry ciasny separatyzm Westphala, ale na zaczepki jego początkowo wcale nie reagował, co jeszcze bardziej drażniło hamburskiego kaznodzieję. Nienawiść jego do wszystkiego co reformowane, do wszystkiego, co się z ducha Kalwinowego poczęło nie znała granic. Kiedy Marja Katoliczka, dla swego okrucieństwa przezwana także Krwawą, wypędziła z Londynu reformatora polskiego Jana Łaskiego wraz z 60 rodzinami ewangelickiemi i nieszczęśliwcy ci długo daremnie szukali azylu w Danji i w północnych miastach niemieckich, Westphal wyrabiał tym „wysłannikom djabła", jak ich nazywał, wszędzie jaknajgorszą opinję. „Ci, co do nas przyszli — pisał np. do gościnnych frankfurtczyków — to gorsi niż podpalacze i truciciele, gorsi niż łotrzy i mordercy, albowiem zatruwają zdrową naukę, kradną Słowo Boże, mordują dusze. Mąż Boży pod wpływem Ducha Św. radzi unikać sekciarzy i przepędzać ich". Biedni ci „mordercy" i „truciciele" mogliby takie same zarzuty skierować i pod adresem Westphala, ale oni woleli milczeć. Krewki Kalwin nie mógł jednak dłużej wytrzymać i jął się przeciw Westphalowi słowa. Zerwała się istna burza. Nawet Brenz, dotąd serdeczny przyjaciel Kalwina, i Jakób Andreae ujęli się za rzekomo napadniętym przez reformatora genewskiego luteranizmem. Już wówczas bowiem nauka wielkiego reformatora wittenberskiego poczęła się w sobie zamykać i kostnieć w t. zw. ortodoksji, zaciekle zwalczając wszystko co nieluterskie. W ten sposób mimo serdecznych wysiłków Kalwina zjednoczenia całej Reformacji tworzy się z biegiem czasu coraz to większa przepaść pomiędzy luteranizmem i kalwinizmem. Dziś, chwała Bogu, leżą już za nami czasy wyznaniowej wyłączności, a wszyscy ewangelicy bez różnicy wyznania świadomi są swego ewangelicznego braterstwa i w myśl upomnienia apostolskiego (Efez 4_{2-6}) żyją zgodnie obok siebie w jedności ducha i miłości.

Z. DROPIOWSKI.

MEMENTO.

„No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
„Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród.
„Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

— — — — — — — — — — —

„Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę:
„Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja
„A lud pod jego cieniem żyje.

— — — — — — — — — — —

„Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...

Właśnie przypada setna rocznica, kiedy „Kordjan" Juljusza Słowackiego opuścił prasę drukarską w Paryżu. Oczywiście, sklerykalizowane społeczeństwo nasze przejdzie do porządku nad tą rocznicą, rezerwując sobie cały

entuzjazm na jubileusz „Trylogji" Sienkiewicza albo „Żywotów Świętych" Skargi. Bo „Kordjan"— to utwór bezbożny, zrywający świętokradczo listek figowy z „brzydliwości" (mówiąc językiem Jakóba Wujka)—jednego z „ojców świętych". Ale ci, którym jeszcze nic nie wyjadło serc i mózgów, z pewnością wezmą do rąk ten krwią serdeczną pisany poemat i na nowo odczytają wspaniałą, tragiczną scenę audjencji Kordjana—Polaka, Kordjana—patrjoty u papieża—Włocha, papieża—cynika, obłudnika i samoluba, by przypomnieć sobie wielką prawdę wypowiedzianą przez Wieszcza w innym poemecie: „Polsko... twoja zguba w Rzymie".

Ażeby tę prawdę zrozumieć, ażeby poznać genezę antypapieskiej orjentacji Słowackiego, która postawiła go zaszczytnie w obozie „heretyków" i pasowała na wielkiego patrona walki o niezależność ducha, ażeby ocenić należycie obelgę rzuconą w twarz skrwawionemu Narodowi Polskiemu przez Grzegorza XVI, oczywiście trzeba najpierw poznać dobrze historję samego faktu, przemilczanego chętnie, wyjaśnianego tendencyjnie, przekręcanego bezwstydnie i tuszowanego umiejętnie, tak, że w podświadomości szerokiego ogółu tkwi mimo wszystko restrykcja: a może istotnie tak źle nie było?"

Na szczęście istnieją autentyczne dokumenty, rzucające jaskrawe światło już nie tylko na osławiony incydent potępienia powstania listopadowego przez papieża, ale wogóle na ducha panującego w zatęchłych zakamarkach Watykanu, na tradycyjny kierunek jego polityki i metody postępowania. Dokumenty te dość niedawno odkrył dr. Maciej Loret w wiedeńskiem Archiwum Domu, Dworu i Państwa, gdzie znajdują się do dziś i z łatwością mogą być skontrolowane.

W Watykanie powstanie listopadowe od samego początku spotkało się z jak najwyższą niechęcią, co zrozumieć łatwo, zważywszy, że reprezentuje on „królestwo z tego świata". Czasy bowiem były burzliwe, niebezpieczne dla wszystkich monarchij w Europie, a więc i dla rządzonego despotycznie Państwa Kościelnego. Rewolucja lipcowa we Francji podniecila umysły, na terenie władzy papieskiej potworzyły się tajne organizacje rewolucyjne, atmosfera była gorąca i jedynie załogi austryjackie stojące w Lombardji opóźniały wybuch. Właśnie odbywało się konklawe po śmierci Piusa VIII, kiedy nuncjusz wiedeński doniósł kolegjum kardynalskiemu o „buncie przeciw własnemu rządowi w Polsce, wywołanym „brakiem religji" u polskich ministrów (!). Kolegjum kardynałów zlękło się czy nie jest to początek ogólno-europejskiej rewolucji, a w każdym razie zlękło się konsekwencyj gdyby powstanie rozszerzyło się i na zabór austrjacki, gdyż wtedy Austrja musiałaby cofnąć swoje załogi, dające jaką taką gwarancję bezpieczeństwa „Stolicy Św.". Odpowiedziano przeto nuncjuszowi poufną depeszą w tym właśnie sensie, wyrażając nadzieję, że oręż Rosji będzie dość silny by bunt uśmierzyć i że zwycięstwa jej okażą się świetnemi, decydującemi i szybkiemi („brillanti, decisivi e solleciti"), w każdym zaś razie lękać się należy, by—uchowaj Boże—nie doszło do upokarzających układów z buntownikami.

Tak orjentowali się kardanałowie, tak więc orjentował się już wówczas i 66 letni kardynał Bartłomiej Capellari, ex-mnich, reakcjonista, zapatrzony jako w ideał w Innocentego III, autor rozprawy „Il trionfo della Sede santa e della Chiesa contro gli assalti dei novatori *), której tytuł mówi sam za siebie. Obawy te żywił on i w kilka miesięcy później, gdy (2 lutego 1831 r.) za poparciem króla hiszpańskiego, choć tylko 14 głosami, został wybrany papieżem i przybrał nazwę Grzegorza XVI.

Awersja jego do rewolrcyj jakiegokolwiek rodzaju wzmogła się wskutek zamącenia uroczystości koronacyjnych przez groźne rozruchy w Bolonji a nawet w samym Rzymie, tak że dopiero uproszona interwencja austrjackich bagnetów po dwumiesięcznej akcji uratowała samowładztwo papieża w jego państwie. Może dlatego właśnie dał się nakłonić kardynałowi Bernettiemu, który sprawował urząd sekretarza Stanu, a z całej duszy nienawidził Polski, do zaznaczenia swego stanowiska wobec powstania i w 16 dni po koronacji wydał breve „Sollicitudo animarum", skierowane do biskupów w Polsce. Co prawda, breve to zredagowane było dość ostrożnie, bo przecież nie podobna jeszcze było przewidzieć rezultatu „buntu", ale niechęci nie udało się zamaskować. Zalecił w niem papież duchowieństwu polskiemu ścisłą neutralność, „bo Kościół uznaje każdą formę rządu i nie wnika, czy jest sprawiedliwa" (!) Naturalnie, inspiratorem był poseł rosyjski Gagaryn, druh serdeczny Bernettiego, może też breve miało być rewanżem dla cara Mikołaja I za hojne dary przysłane na odbudowę bazyliki św. Pawła, ale takie ryzykowne pociągnięcie, mogące urazić Polaków, musi być przedewszystkiem przypisane osobistej animozji.

Tymczasem szybko rozgrywające się wypadki wojenne na terenie Polski coraz bardziej utrwalały Watykan w przekonaniu, że powstanie nie będzie mieć powodzenia, że przeto zbytecznem jest zachowywanie ostrożności. Już w marcu 1831 r. kard. Bernetti pisał do nuncjusza wiedeńskiego, że „nie może powściągnąć się, by nie wyrazić radości z powodu szczęśliwego stłumienia buntu, podniesionego z bronią w ręku", a jasnem jest, że tę radość od-

*) „Triumf Stolicy św. i Kościoła nad nowatorami".

czuwał także papież z całem kolegjum kardynałów.

I w takiej to chwili polski Rząd Narodowy, łudzący się mimo wszystko co do szlachetnych uczuć „Ojca św.", postanowił użyć jego pośrednictwa na rzecz sprawy słusznej, sprawiedliwej i Bożej! Marszałek Sejmu Władysław Ostrowski wystosował odpowiednie pismo do papieża, ale odpowiedzi nie otrzymał [1]), specjalny wysłannik zaś spotkał się ze wzgardliwą odprawą i „skarceniem" — jak się sam papież później przechwalał. Oczywiście, gdyż Rosjanie dochodzili już do Warszawy i kapitulacja stolicy była tylko kwestją krótkiego czasu! Z pokonanymi—nie warto było liczyć się.

Powstanie upadło, Paskiewicz zaczął w kraju robić „porządek", ale czuł potrzebę oparcia się o jakiś uznany w Polsce autorytet. Takim był przedewszystkiem „Ojciec św." w Rzymie. Może dlatego w Statucie organicznym Królestwa Polskiego znalazł się art. V postanawiający, że „wiara rz. kat. będzie zawsze cieszyć się osobliwszą opieką rządu" i art. VI, gwarantujący nienaruszalność dóbr kościelnych, ażeby ułatwić zjednanie papieża dla wspólnej akcji.

Za podszeptem Paskiewicza minister spraw zagranicznych Nesselrode polecił Gagarynowi skłonić papieża do wydania encykliki potępiającej powstanie, „byle tylko nie w tak bladej formie jak breve z 18 lutego 1831 r., z którego rząd nie mógł zrobić użytku". Pisał też Nesselrode, że papież powinien pomóc do uspokojenia Polski, choćby przez wzgląd na solidarność, podyktowaną ideą monarchiczną, a co mu przyjdzie łatwo wobec wielkiego wpływu, jaki na ludność tamtejszą ma kler katolicki. Nesselrode przewidywał, że papież nie da się tak łatwo namówić, dlatego użył pośrednictwa Austrji, na które Metternich zgodził się chętnie i odpowiednie instrukcje posłał ambasadorowi Lützowowi, zalecając zwłaszcza zwrócić uwagę papieża, że Franciszkowi I, jako monarsze katolickiemu, bardzo zależy na współdziałaniu papieża, jak również, że życzenie cara Mikoła I, wystosowane pod adresem Stolicy Św. jest niejako jego hołdem dla „głowy chrześcijaństwa" (!).

Lützow opinje te zakomunikował papieżowi z początkiem kwietnia 1832 r. osobiście. Gagaryn zaś, jak poprzednio, użył pośrednictwa Bernettiego, nie zaniedbując przedłożyć kopji Statutu organicznego Król. Polskiego, z jego V i VI paragrafem.

Wbrew przewidywaniom atoli Grzegorz XVI okazał się dziwnie ustępliwy i łatwo przystał na propozycję, którą bezwzględnie powinien był uznać za upokarzającą, bezczelną i impertynencką. Widocznie jednak rola żandarma rosyjskiego przypadła mu do gustu, bo skwapliwie i to osobiście przystąpił do zredagowania swego orędzia do biskupów w Polsce, korzystając tylko z pomocy zaufanego kardynała Lambruschiniego. Orędzie to, zatytułowane: „Epistola encyclica ad omnes archiepiscopos et episcopos in Poloniae regno commorantes) [1]) utrzymane było w tonie teologicznym i naszpikowane gęsto cytatami z Pisma św. z dzieł Tertuljana i Augustyna, aby — jak się sam papież później cynicznie wyraził—usunąć podejrzenia, że encyklika została napisana pod wpływem Rosji.

Treść wyraża ubolewanie z powodu buntu niedawno „szczęśliwie" stłumionego, zapewnienie papieża że modli się, by Bóg dopomógł uspokoić kraj i przywrócić go zupełnie prawowitemu władcy, wezwanie do wyplenienia doktryn rewolucyjnych, napomnienie by duchowieństwo głosiło obowiązek bezwzględnego posłuszeństwa dla prawowitej, od Boga pochodzącej władzy. Powstanie było karygodnym buntem przeciw tej władzy, było aktem perfidji i zdrady, powstańcy zaś—to „ludzie podstępni, którzy pod płaszczykiem dobra ogólnego wyzyskują łatwowierność prostaczków, nakłaniając ich do zamącenia spokoju i obalenia porządku społecznego". W każdem słowie niemal, z pod obłudnej maski namaszczenia religijnego wyziera złośliwość osła, kopiącego odważnie lwa w agonji, brzmią jak syk węża urągania i obelgi, tem bezczelniejsze, że obliczone na poklask możnych protektorów.

Tak zredagowaną encyklikę odczytał papież najpierw ambasadorowi austrjackiemu, a gdy ten ją zaaprobował, przedłożył z kolei Gagarynowi, który poczynił w niej niejakie poprawki. Ostatecznie datowano ją 9 czerwca 1832.

Zaiste, trudno było posunąć się dalej w obleśnej usłużności dla cara Rosji. Wszak udzielny władca świecki i „namiestnik Chrystusa" w interesie innowiercy potępił swoje własne owieczki, dał się użyć jako narzędzie poskromienia narodu na równi z pierwszym lepszym „policejskim", oddał się pod kontrolę takich Gagarynów i Lützowów, którzy dowolnie mogli dyktować, poprawiać, zmieniać, to, co papież pisał do swoich biskupów, a pośrednio do ogółu swoich „wiernych". Cała ta robota sprawia wrażenie obstalunku u majstra, według wskazówek pracodawcy. Została wykonana solidnie, oddana akuratnie, należała się więc zapłata. Grzegorz XVI upomniał się o nią natychmiast w obszernym memorjale do Mikołaja I, wspominając wyraźnie zasadę „do ut des". Dziękując pokornie za przywileje,

[1]) Ściślej mówiąc odpowiedź nadeszła ale... dopiero po upadku powstania.

[1]) „List okólny (ekcyklika) do wszystkich arcybiskupów i biskupów, przebywających w Królestwie Polskiem".

przyznane Statutem organicznym zwrócił uwagę na niektóre ograniczenia Kościoła, na zubożenie duchowieństwa, na zakaz niekontrolowanego znoszenia się duchownych z Watykanem i t. d. nadewszystko jednak nalegał na przyznanie prawa do mianowania swego ambasadora przy rządzie petersburskim.

Ale tu zaczyna się komiczna strona brzydkiej i ponurej historji. Ani ten memorjał, ani pisma i noty późniejsze, ani interwencja Franciszka I, ani przypominanie zasług nie odniosły skutku. Widocznie Mikołaj uważał, że „murzyn zrobił swoją powinność i może odejść". Kazał odpowiedzieć papieżowi, że bez jego pomocy pokonał powstanie polskie orężem i teraz będzie korzystać z praw zwycięscy. Jakoż korzystał. Bezwzględna polityka eksterminacyjna wobec Kościoła rz. kat. na terenie całego zaboru polskiego, konfiskata 150 klasztorów, konfiskata dóbr kościelnych it . d. — oto srebrniki, wypłacone nowoczesnemu Judaszowi. Grzegorz został całkiem ordynarnie oszukany i w bilansie afery pozostało mu tylko m a n c o: zachwianie powagi u „wiernych" Polaków i... śmieszność sytuacji.

Wiele się czyta o skrusze, jaką okazał Grzegorz XVI wobec generała Zamoyskiego na audjencji w r. 1836. Mianowicie kiedy Zamoyski z żalem i bólem poruszył sprawę osławionej encykliki, papież „ze łzami w oczach", biorąc go w ramiona zawołał: „Ależ ja was nigdy nie potępiałem. Oszukano mię na waszą niekorzyść. Moi właśni słudzy dali się oszukać i wprowadzili mię w błąd". Scena ta jest autentyczna. Ale tenże sam „skruszony" Grzegorz w 1845 r. przechwalał się przed Mikołajem I. że wysłannika polskiego Rządu narodowego swego czasu przepędził od siebie, że ogłosił potępienie powstańców i zawsze uczył Polaków „zupełnego posłuszeństwa" wobec władzy państwowej!

Ten szczegół uzupełnia konterfekt Grzegorza XVI i nie potrzebuje komentarza. Nie potrzebuje też omawiania rola Watykanu odnośnie do spraw i losu Polski, — tej najwierniejszej służki papiestwa. Owe przetargi, umowy, szachrajstwa do współki z najzaciętszymi naszymi wrogami, owo sprzedawanie krwi i czci Narodu za koryto młóta, owo nikczemne pełzanie przed silnymi a wzgarda dla słabych — wszystko to ma swoją własną, silną wymowę.

Zrozumiał ją Słowacki, zrozumiała garść innych, którzy nie chcą, czy nie mogą być „trupem lub padalcem". Do tych należy przypominać rodakom, żyjącym jeszcze ciągle w złudzeniu świętości „Ojców świętych" takie epizody z dziejów naszych, wołać; choćby ostatkiem tchu w piersiach do zahypnotyzowanego społeczeństwa: Memento! Memento! Twoja zguba w Rzymie!

Przedruk z „Pielgrzyma Polskiego".

SYNOD
Kościoła Ewangelicko Reformowanego
w Rzeczypospolitej Polskiej.

Jak zwykle w pierwszej połowie czerwca, w dniach 10 i 11-go obradował tegoroczny Synod naszego Kościoła. Rozpoczął się on uroczystem nabożeństwem w naszym kościele na Lesznie, odprawionem przez Superintendenta Kościoła Przewielebnego Ks. Stefana Skierskiego. Na nabożeństwie obecni byli, oprócz przedstawicieli władz kościelnych, delegatów Zborów i licznych parafjan miejscowych, także proboszcz parafji Anglikańskiej w Warszawie — Ks. Carpenter, oraz przedstawiciele Kościoła Ukraińskiego Ewang. - Reformowanego w osobach: p. Romana Kwaśniuka, Przewodniczącego Wydziału Wykonawczego Misji Ukraińskiej i p. Włodzimierza Borowskiego, starszego diakona. Nauka oparta na pierwszych wierszach początku I-go listu ap. Pawła do Tesalończyków, miała za zadanie utwierdzenie zebranych w prawdzie Chrystusowej i wezwanie ich do skutecznej wiary, czynnej miłości i wytrwałej nadziei w pracy na winnicy Pańskiej.

Po nabożeństwie synodujący zebrali się w Sali Zborowej na Lesznie, a Vice-Prezes Synodu z urzędu — Ks. Superintendent zagaił sesję synodalną krótką modlitwą i wspomnieniem o zmarłych w ciągu ostatniego roku: ś. p. Prezesie Konsystorza Henryku Sachs'ie, Radcy Konsystorza, Profesorze Jerzym Łodzia-Kurnatowskim i członku Kolegjum Kościelnego Zboru Łódzkiego—Karolu Howorce. Zebrani uczcili pamięć zmarłych przez powstanie. Po odczyniu reskryptu Pana Ministra W. R. i O. P., zezwalającego na otwarcie Synodu, i ukonstytuowaniu się tymczasowego prezydjum, przystąpiono do wyboru Prezesa Synodu, Notarjusza i Sekretarza. Na zaszczytną godność Prezesa Synodu powołano JW. Pana Aleksandra Karszo-Siedlewskiego, który już niejednokrotnie pełnił tę zaszczytną funkcję, na Notarjusza Synodu Przewielebnego Ks. Pułkownika Senjora K. Szefera, jego zastępcę—Wielebnego Ks. L. Zaunara, proboszcza parafji Łódzkiej, a

na Sekretarza — p. St. Bretsch'a. Po wyborach odczytano życzenia i pozdrowienia od instytucyj i osób prywatnych, oraz powitano delegatów Zborów Ukraińskich i naszych prowincjonalnych.

Po załatwieniu tych przedwstępnych punktów porządku dziennego, przystąpiono do działu sprawozdawczego programu. Konsystorz zdał sprawozdanie ze swej działalności za rok 1933/34. Zasługuje na uznanie dzielność członków Konsystorza, którzy, przy znacznem zdekompletowaniu tegoż przez nieubłaganą śmierć 2-ch członków Konsystorza (na 5-ciu), podołali jednak w zupełności powierzonym im obowiązkom. Następnie Ks. Superintendent odczytał sprawozdanie z życia Kościoła. Sprawozdanie podzielone na dwie części omawiające 1) życie zewnętrzne naszego Kościoła we współpracy z wszechświatowemi organizacjami Kościołów, 2) i życie wewnętrzne, w ramach naszej Jednoty, rozszerzających się coraz bardziej na południo- i północo-wschodzie Rzeczypospolitej Polskiej. W życiu zewnętrznem naszego Kościoła, jak widać ze sprawozdania, daje się zauważyć pewne obumarcie aktywności, znajdujące wytłumaczenie w niepewnej, kryzysowej konjunkturze międzynarodowej ekonomiczno-politycznej, a przedewszystkiem — w kryzysie natury duchowej. W życiu wewnętrznem Kościoła zasługują na podkreślenie fakty rozszerzania się i pogłębiania pracy misyjnej wśród braci naszych Ukraińców na kresach południowo-wschodnich i coraz większego umacniania się ideowej placówki w Wilnie, jak również rozszerzania się pracy misji wewnętrznej w Zborach Zelowskim i Łódzkim.

Po zakończeniu działu sprawozdawczego, zanim przystąpiono do wyborów, uchwalono odbywać nabożeństwo w drugim dniu Synodu w sali obrad, zamiast w Kościele, a to ze względu na większą obecność synodujących. Z powodu śmierci 2-ch członków Konsystorza: Prezesa i 1-go Radcy świeckiego, oraz ukończenia kadencji II-go Radcy świeckiego, zaistniała konieczność przeprowadzenia jednocześnie wyborów 3-ch członków Konsystorza: Prezesa i obu Radców świeckich. Przytłaczającą większością głosów zostali wybrani: na Prezesa Konsystorza—JWP. Inżynier Emil Świda, dotychczasowy długoletni Prezes Kolegjum Kościelnego Zboru Warszawskiego, na 1-go członka świeckiego — JWP. Mecenas Ryszard Gerlicz, na 2-go — ponownie — JWP. Radca August Deloff. Na tem zakończyły się obrady pierwszego dnia Synodu.

Nazajutrz, o godz. 5-ej po poł. obrady synodalne rozpoczęły się od b. treściwego i pięknie wygłoszonego przez Wielebnego Ks. Zaunara rozmyślania na tekst: „Panie, chcemy Jezusa widzieć". Po nabożeństwie złożne zostały sprawozdania z działalności i życia wewnętrznego Kościoła Ukraińskiego Ewang.-Reformowanego za rok 1933/4, oraz przedstawienie w sprawie misji im. Barraclaugh'a w Krakowie. Jak widać ze sprawozdania, praca misyjna, w którą wkłada się dużo trudu i samozaparcia, coraz bardziej rozszerza się i pogłębia, co wytwarza naglącą potrzebę zjechania do kraju obranego w roku zeszłym Superintendenta Kościoła Ukraińskiego Prof. Ks. Kusiwo. Co do misji wśród żydów w Krakowie, stawia ona w nowym etapie swoich dziejów zaledwie pierwsze kroki.

Sprawa zwrotu Zborowi Krakowskiemu zabytków archiwalnych i cmentarnych, pochodzących z nieistniejącego już Zboru reformowanego pod Krakowem w Wielkiejnocy, przekazana została Konsystorzowi do definitywnego jej załatwienia.

Co do przedstawienia w sprawie Zboru Wileńskiego, projekt ordynacji kościelnej został przez Synod zatwierdzony, a wniosek Zboru o mianowanie stałego Duchownego, ze względu na doniosłe znaczenie placówki w Wilnie, został jednogłośnie przez Synod uchwalony.

Sprawa wniosku Ks. L. Zaunara odbywania Synodów w jednym ze Zborów prowincjonalnych została odroczona ze względu na brak należytego jej opracowania, spowodowanego znacznem zdekompletowaniem Konsystorza.

Wreszcie zostały złożone sprawozdania w sprawach udziału Zborów w powiększeniu dochodów Fund. Ogólnego Kościoła, Fund. Stypendjalnego, zapisu Davisona, opieki nad grobami wyzn. ewang.-reform., rozproszonymi po całym kraju; sprawozdanie i bilans funduszów, zostających w dyspozycji Konsystorza za rok 1933, etat Konsystorza na rok 1934, sprawozdanie Kasy Oszczędnościowo-zapomogowej, przedstawiono stan archiwum akt dawnych i bibljoteki synodalnej, rachunki parafjalne i instytucyj zborowych za rok 1933, oraz etaty parafjalne i instytucyj zborowych na rok 1934. Odczytano protokuł Komisji Rewizyjnej i przeprowadzono wybory do tejże Komisji, powołując do niej poprzednich członków. Wszystkie powyższe sprawozdania zostały zatwierdzone przez Synod. Sesja Synodu zamknięta została o godz. 10-ej w. nabożeństwem dziękczynnem, odprawionem przez Ks. Superintendenta Skierskiego w sali obrad synodalnych.

Ks. K. O.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

ZE ZBORU WARSZAWSKIEGO

W dniu 17-ym czerwca odbyła się w miejscowości Żaków pod Mińskiem Mazowieckim uroczystość poświęcenia i otwarcia ofiarowanego Zborowi Warszawskiemu przez współwyznawców naszych, małżonków Czapek nowego sierocińca pod nazwą „Czapków". W obecności przedstawicieli władz kościelnych i państwowych oraz grona członków Zboru i gości w liczbie około 300 osób, między którymi przybyli też vice-minister Pracy i Opieki Społecznej, p. Duch z małżonką oraz p. radca Dr. Sawicki z Min. W. R. i O. P., Ksiądz Superintendent St. Skierski w asyście Księdza Zaunara z Łodzi oraz Kięđza Jelena i Księdza Jelinka z Warszawy dokonał aktu poświęcenia, podkreślając następnie w podniosłych słowach swego przemówienia ofiarność pp. Czapków, którzy przez swój hojny dar przyczynili się wydatnie do polepszenia warunków bytu sierot naszych, mogących odtąd korzystać stale z tak pięknego letniska w doskonałych i zdrowych warunkach. Następnie przemawiali wszyscy pozostali Duchowni nasi, składając serdeczne życzenia błogosławionego i pomyślnego rozkwitu nowej placówce. W krótkich lecz mocnych słowach zwrócił się do zgromadzonych miejscowy starosta, p. Gadomski, zaznaczając, że ten prawdziwie społeczny czyn jest wyrazem głębokiego zrozumienia sierocej doli ze strony ofiarodawców. W imieniu naszych władz kościelnych wyraził podziękowanie Prezes Konsystorza, p. inż. E. Swida, który w przemówieniu swem zaznaczył, że dar podobny jest w czasach dzisiejszych darem szczególnej wagi, rzadkiem bowiem zjawiskiem na tle stosunków współczesnych jest troska o bliźnich i staranie poprawy losu bezdomnej młodzieży. Przemawiali również przedstawiciel miejscowej straży ogniowej oraz jeden z gości. Bardzo korzystnie wypadły produkcje chóru kościelnego, który stawił się w komplecie pod kierunkiem p. prof. Rechtsiegla, a także i deklamacje najmłodszych dziatek Sierocińca były nader serdecznie przyjęte przez zgromadzonych. Po ukończeniu części oficjalnej uroczystości naszej wszyscy goście udali się na zwiedzenie posesji i domu mieszkalnego Sierocińca, który rozmiarem swym, urządzeniem oraz warunkami zdrowotnemi dorównywa wzorowo urądzonym zagranicznym domom sierot. Wspólny posiłek, przygotowany przez opiekę przytułku naszego, zakończył tych kilka godzin, spędzonych w nowym domu, mającym służyć wychowaniu religijnemu, moralnemu i fizycznemu sierot Zboru naszego.

Ks. J. J.

ANGLJA. — BISKUP ANGLIKANSKI PRZECIW MAŁŻEŃSTWOM MIESZANYM.

Dr. Bell, biskup anglikański Chichesteru, przewodniczący Rady Ekumenicznej, w swym organie djecezjalnym wzywa wiernych do unikania małżeństw mieszanych z katolikami. Nawiązując do praktyki katolickiej co do podpisywania rewersów, stwierdza, że składanie obietnic przedślubnych co do wyznania dzieci jest niesłuszne; anglikanie winni go bezwarunkowo unikać. *Ew.-Pol.*

ZBÓR ŻYDO-CHRZEŚCIJAŃSKI.

W Berlinie zorganizował się pierwszy zbór chrześcijan żydowskich. Mieści się on w domu przy Oranienburgerstrasse 20.

Ew-Pol.

ZGON Ś. P. PROF. JANA KWAČALI.

W dniu 9 czerwca b. r. zmarł nagle w Bratysławie w Czechosłowacji na atak mózgowy ś. p. Jan Kwacala, Doktór teologji i filozofji, Profesor Wydziału Teologji w tejże Bratysławie. Ś. p. Dr. Kwacala był od roku 1891 — 1917 profesorem na katedrze Historji Kościoła w Wszechnicy Dorpackiej, a więc był nauczycielem całego szeregu księży ewangelickich pokolenia przedwojennego. Zmarły profesor był w Dorpacie, na na obczyźnie dla studentów ewangelików-polaków szczerym i serdecznym przyjacielem, a często i opiekunem. Znali go w Dorpacie i stosunki z nim przyjacielskie utrzymywali nie tylko teolodzy, ale i studenci innych wydziałów. Przeto wieść o jego śmierci napełni żalem serca wielu dorpatczyków. Zmarły liczył lat 72, przed paru laty bawił w Warszawie, zaproszony przez Wydział teologji ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego i w auli Uniwersytetu wygłosił dwa wykłady. Przed kilku zaledwie tygodniami tenże fakultet uczcił Prof. Kwacalę godnością honorowego Doktora Teologji. Uroczystość pogrzebowa odbyła się dnia 13 b. m. w Bratysławie przy udziale licznego zastępu publiczności, duchowieństwa z biskupami ew. Kościoła Słowackiego na czele, oraz przedstawicieli świata naukowego i politycznego.

Cześć jego pamięci.

S.

SZANOWNYCH CZYTELNIKÓW I PRZYJACIÓŁ „JEDNOTY" ZAWIĄDAMIAMY, ŻE Z POWODU WYJAZDU REDAKTORA PISMA NA URLOP KURACYJNY NASTĘPNY NUMER „JEDNOTY" — PODWÓJNY (7—8) UKAŻE SIĘ W KOŃCU MIESIĄCA SIERPNIA R. B.

REDAKCJA.

OFIARY.

I Dla uczczenia pamięci zmarłego ś. p. Radcy Konsystorza profesora Jerzego Łodzia-Kurnatowskiego składa małżonka jego—JWPani Jadwiga Kurnatowska:
1. na djakonat zł. 100,00
2. na biednych do uznania Ks Skierskiego „ 100,00
3. na wydąwnictwo „Jednoty" 100,00

II Dlą uczczenia pąmięci zmarłej tragicznie ś. p. Eweliny Karszo-Siedlewskiej składa na wydawnictwo „Jednoty"—WPani Bronisława Vetterowa z Lublina zł. 100,00

III **Na wydawnictwo „JEDNOTY".**

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1 W-ny pan Edmund Diehl — Warszawa zł. 8,00
2. W-ny pan Ludwik Kronenberg — „ „ 3,00

Serdeczne dzęki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc lipiec 1934 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 1 VII (V N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks. J. Jelen.
2. Niedziela, dn. 8.VII (VI N. po Trójcy Ś-ej) z Komunnją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. J. Jelen.
3. Niedziela, dn. 15.VII (VII N. po Trójcy Ś-ej) . . . . . Ks J. Jelen.
4. Niedziela, dn. 22 VII (VIII N po Trójcy Ś-ej) . . . Ks. E. Jelinek
5. Niedziela, dn. 29.VII (IX N. po Trójcy Ś-ej) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. E. Jelinek.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100. III str — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Wydawnicza. Warszawa, Kacza 15. Tel. 667-71.